

Izabela Tumas

TATKO



„Śląsk”



Izabela Tumas

Miała w życiu cztery marzenia:

1. zostać bibliotekarką,
2. opublikować książkę,
3. zostać tancerką,
4. zostać mamą.

Spełniła wszystkie, ale to drugie dopiero w 2024 roku.

Czyta, pisze, bloguje.

www.bibliotekarka.bedzin.pl

Autorka artykułów o bibliotece i literaturze, współautorka książki *Babiniec. Herstoria będzińska*.

Od lat jest zakochana w Mazurach, żeglarstwie, Italii i języku włoskim.

Z pewnych miejsc nie
wietrzeje nigdy strach,
ból i upokorzenie.
Przynależą do nich
jak przekleństwo i nie
znikają, niczym ślady po
trądzie. Coś uwalniało
się z tej ziemi jak gaz,
którego zrazu nie
czuć, ale truje powoli
i podstępnie.

(fragment)

TATKO

Izabela Tumas

TATKO



Katowice 2024

Proza

Projekt okładki:
Marek J. Piwko

Redakcja:
Małgorzata Szewczyk

Skład:
Katarzyna Dziubała

Korekta:
Zespół

© Copyright by Izabela Tumas, Katowice 2024
© Copyright by „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe,
Katowice 2024

ISBN 978-83-8183-211-3
e-ISBN 978-83-8183-212-0

Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe
ul. Podgórna 4, 40-026 Katowice,
tel. biuro (032) 25-80-756
e-mail: sekretariat@slaskwn.com.pl

w w w . s l a s k w n . c o m . p l

Moim Najbliższym

*Książkę poświęcam również pamięci:
Babci,
Doroty Terakowskiej,
która namawiała mnie do jej napisania*

Kim jesteśmy, to nie znaczy, czego doświadczyliśmy, przez jakie radości, troski, rozpacz przeszliśmy, przez jakie marzenia, pragnienia, niespełnienia, rozczarowania, zawody. Lecz na ile to wszystko przybliżyło nas do zrozumienia, czym jest nasz los. Los nie jest nam bowiem dany z tytułu urodzenia, dane nam jest tylko życie. Los natomiast to zdolność wyobrażenia sobie naszego życia w wymiarach przeznaczenia. A to bardzo trudne i może nie każdego na to stać.

Wiesław Myśliwski *Ostatnie rozdanie*

Koniec

Grób był pusty, a przynajmniej wszystko na to wskazywało. W miejscu, gdzie trzy dni wcześniej pochowano urnę z jasnego drewna, teraz ziała dziura. Mała patrzyła na to ze zdumieniem, aż opadła jej dolna szczęka. W pewnym momencie pomyślała, że musi teraz idiotycznie wyglądać i szybko zamknęła usta.

Nie bała się – był środek dnia, w zasięgu wzroku kilka osób odwiedzających bliskich, a w oddali ekipa cmentarna przygotowująca miejsce na kolejne ciało. Była raczej pełna podziwu, że kolejny raz wywinął numer. I to jaki – pośmiertny! Na szczęście też już ostatni.

– Panowie! Możecie tutaj przyjść? Chyba ktoś wykopał mi ojca!... – krzyknęła do grabarzy, kiedy minęło pierwsze odrętwienie.

Facet w roboczym ubraniu podszedł z ociąganiem, a potem wsparł się na łopacie i zaskoczony wpatrywał w zagłębienie.

– No... Różne rzeczy widziałem, ale czegoś takiego jeszcze nie. Rzeczywiście, wygląda podejrzanie...

Włożył łopatę w dół i sprawdził, jak głęboko sięga ubytek. Ponad ziemię wystawała tylko końcówka drewnianego styła.

– U nas spokojny cmentarz, nigdy nic takiego się nie zdarzyło – powiedział bardziej do siebie, niż do Małej, a potem krzyknął do kolegów:

– Ej! Cho no tu który!

Kolejny robotnik w kombinezonie utyłtłanym ziemią i cementem stanął nad wąskim grobem ściśniętym między okazałymi pomnikami z marmuru.

– Zapadło się – zawyrokował. – Często się zdarza, ale tutaj wygląda spektakularnie...

Mała spojrzała na mężczyznę. „Spektakularnie” – dawno nie słyszała tego słowa, które w ogóle tu nie pasowało. W ustach kogoś, kto trudni się grzebaniem zmarłych, zabrzmiało bardziej niż dziwnie.

– Kop! – rzucił do niego ten, który przyszedł jako pierwszy, widocznie szef ekipy.

Szpadel zagłębił się w jamie lśniącej czernią. Obok grobu powoli rosła górką ziemi. Robotnik wydobywał na powierzchnię kolejne jej partie, wciąż nie napotykając na opór.

Oczyrna wyobraźni Mała widziała już dookoła czerwoną taśmę, policję i prokuratora, może nawet ekipę w białych wdziankach i żądnych sensacji fotoreporterów z brukowców, ale nagle szpadel stuknęła o coś i nie dał wbić się głębiej. Usłyszała, że z ust szefa grabarzy cicho uchodzi wstrzymywane do tej pory powietrze.

– No, jest... – powiedział z ulgą.

Ten, który kopał, odgarnął jeszcze trochę ziemi i oczom wszystkich ukazała się jasna deska i fragment metalowego zdobienia.

Mała zawsze mówiła szybciej niż myślała, co bywało pomocne, ale i kłopotliwe. Z wiekiem nabrała też przekonania, że nie ma prawa zabierać nikomu cennego czasu, dlatego teraz też nie chciała

niepotrzebnie przedłużać tej dziwnej sytuacji. Skinęła więc tylko głową, mówiąc:

– OK, można zasypywać.

Dopiero w domu, na chłodno, zaczęła jeszcze raz wszystko analizować. Pomyślała, że urny z prochami ojca wcale nie musiały tam być. Grabarz dokopał się tak głęboko, że może trafił na trumnę ciotki pochowanej w tym miejscu kilka lat wcześniej. Nigdy jednak tego nie zweryfikowała.

I tak ojcu, który dokończył żywota, znowu udało się gdzieś wyrwać. Tym razem na wieczny niepowrót.

Mała się pojawia

Historia Małej zaczyna się, kiedy wiszący w powietrzu pył i smród w tym regionie były tak gęste, że można je było niemalże złapać dłonią i zakręcić wokół szyi jak powróż. Biała koszula założona rano już w południe nadawała się do prania: na mankietach i kołnierzyku szybko pojawiały się ciemne obwódki brudu. Taką cenę trzeba było płacić za wiele miejsc pracy w wyrosłych tutaj pod koniec poprzedniego wieku hutach i kopalniach. Zdawało się, że są nieśmiertelne i już na zawsze wrosły w krajobraz. Ich powolne dogorywanie przypadnie na czasy, kiedy Mała będzie wchodziła w pełnoletniość.

Urodziła się nocą pewnego zimnego dnia wczesnej wiosny. Kiedy pierwszy raz włożono ją w ramiona matki, Celina zobaczyła główkę pokrytą

jasnymi włoskami, a nad czołem córeczki dojrzała długi, czarny włos.

– To dobry znak, na szczęście – powiedziała głośno i pocałowała dziewczynkę w to miejsce.

I tak, bezwiednie, wypowiadając do noworodka właśnie te słowa jako pierwsze, ochroniła go przed konsekwencją złych słów rzuconych kilkadziesiąt lat wcześniej na mokrym od deszczu kartoflisku. Brnęła przez nie kobieta z wielkim brzuchem. Przed nią, zgrabnie przeskakując nad grudami śliskiej ziemi, do swojego domu wracał przyszły dziadek Małej, teraz jeszcze młody i w pełni sił. Oznajmił właśnie w ziemniakach, że nie chce kobiety ani tego, co nosi pod sercem, bo za miesiąc żeni się z Marcjaną.

– Niech będą przeklęte wszystkie kobiety w waszej rodzinie! Tak, jak jestem przeklęta ja, którą kochałeś, a teraz nie chcesz. Niech nie zaznają szczęścia w miłości i cierpią z mężczyznami, jak ja cierpię przez ciebie!!! – krzyczała do oddalających się pleców mężczyzny.

Chciała iść za nim i prosić o zmianę decyzji. Była pewna, że zdołałaby go jakoś przekonać, ale buty grzęzły jej w błocie, wsysały jak bagno, brzuch ciążył, a szerokie spódnice krępowały ruchy. Nie wiadomo, czy bardziej ze złości i żalu na swoją niemoc w tym momencie, czy też z nienawiści do całego świata, rzuciła te słowa na wiatr. Nie była nawet pewna, czy on je usłyszał, tak szybko wyszedł z pola i zniknął w sadzie między

drzewami. Sama trochę przerażała się tego, co wypłynęło z jej ust i jakby chcąc sprawdzić, czy ciężar przekleństwa wisi jeszcze na końcu warg – podniosła rękę do twarzy i przetarła ją wierzchem dłoni. Nie było tam już nic, bo to, co wypowiedziane, zaczęło własną wędrówkę przez czas – do spełnienia.

Tak, słowa mają moc, a te rzucone przez ciężarną kochankę dziadka Małej miały działać z zadziwiającą skutecznością. W sąsiedniej wsi poczuła je nawet Celina. Skuliła się nagle w brzuchu Marcjanny i zacisnęła maleńkie piąstki, które na świat miała wychynąć dopiero za pół roku.

Pola

Kobiety w rodzinie Małej wychodziły za mąż, gdy były w ciąży. Jej babcia Marcjanna stanęła przed ołtarzem, kiedy minął czwarty miesiąc. Nikt nic nie gadał, bo pod suknią nie było jeszcze widać brzucha, zresztą babka była raczej obfitych kształtów, co dodatkowo tuszowało sprawę. Wszystko wyjaśniło się pięć miesięcy później, kiedy na świecie pojawiła się Celina. Sprawa rozeszła się po kościach, bo po co było we wsi rozwodzić się nad dzieckiem, które przecież było ślubne i ostatecznie wszystko załatwiono, jak trzeba.

Szybko zapomniano o innej miejscowej dziewczynie, która wyjechała gdzieś ze wsi przed rozwiązaniem, do końca nie chcąc powiedzieć, z kim się

zadawała. Tym bardziej, że nigdy tam nie wróciła, oszczędzając wszystkim ponownego roztrząsania całej historii.

Celina szła do ślubu pięć miesięcy po tym, jak po raz kolejny zgodziła się na niezobowiązujący spacer z Leonem. Znali się już trochę, a on niestrudzenie proponował kawę albo przechadzkę. Niekiedy Celina się godziła, częściej odmawiała, ale Leona nieszczególnie to zrażało. Z uśmiechem i dobrym humorem czekał na nią pod sklepem ze słodyczami, w którym pracowała. Czekał bez względu na to, czy poprzednim razem dostał kosza, czy randka doszła do skutku.

Chodziła na te spacerory trochę z nudów, bo w tym nowym miejscu nie znała prawie nikogo i brakowało jej towarzystwa po pracy, ale też dlatego, że chłopak był wesoły, rozmowny i bardzo przystojny. Ostatecznie i tak nic nie mogło z tego wyjść, była przecież od niego starsza. Tak myślała Celina, kiedy odmawiała spotkania, a potem w domu pluła sobie w brodę, że mogła miło spędzić czas, zamiast siedzieć na stacji i słuchać gderania marudnej właścicielki. Więc następnym razem znów godziła się na propozycję.

W rzeczywistości różnica wieku nie była wcale tak widoczna. Dotychczas nigdy o tym nie rozmawiali, ale dziś zgodziła się na wyjście właśnie po to, żeby powiedzieć mu prawdę. Przypuszczała, że Leon przestanie zabiegać o jej względy, kiedy się dowie, ile ma lat. Myślała o tym przez cały czas,

więc nawet nie zauważyła, że minęli ostatni sklep i doszli do łagodnego łuku drogi prowadzącego na rozległe pola za miastem.

Siedli na brzegu zagłębienia wypełnionego trawą – mówiło się, że to lej po wojennej bombie. Czerwiec był w rozkwicie, wszystko szalało zielenią. W nosie kręciło od kwitnących traw i dzikich kwiatów. Pszczoły i grube trzmiele bzycały przyjemnie i Celinę wciągnął ten odgłos, widok i zapach jak narkotyczny sen. Tęskniła za swoim domem na wsi, za przyrodą. Tak naprawdę dobrze czuła się tylko w takim otoczeniu.

Dzięki tym okolicznościom zrobiła się nagle bardziej śmiała i wydusiła wreszcie, że do trzydziestki jej bliżej niż dalej. Dla Leona, który skończył dwadzieścia lat, problem był wydumany. Potraktował całą sprawę jako nieistotną, roześmiał się głośniejsz niż zwykle, błyskając zębami. Przeczesał ręką gęste czarne włosy, które rzadko obcinał, pozwalając im opadać na szyję, po czym pierwszy raz objął Celinę mocnym uściskiem, jak kleszczami. Chciała oponować, ale jego radosne oczy i dźwięczący ciągle w powietrzu śmiech odebrały jej wolę walki.

Pod plecami miała Celina miękka, soczystą trawę i kwitnącą koniczynę, pod przymkniętymi powiekami najpiękniejsze zielenie rodzinnego sadu, a w brzuchu miała mieć niedługo maciupeńką Małą.

Wesele

Wesele było skromne. Zorganizowano je naprędce w domu ciotki Leona, przy tej samej Uliczce, gdzie pokój wynajmowała kiedyś Celina. Pannie młodej huczało w głowie. Od gwaru, głośnej muzyki, której wielbicielem okazał się jej mąż, i dymu papierosowego, wypełniającego szczelnie pomieszczenie przeznaczone na przyjęcie.

Wyszła na chwilę przed ganek. Listopad tego roku był wyjątkowo ciepły. Przez rozświetlone okna widziała, jak przy stole Leon podryguje w takt muzyki z butelką, nalewając co chwilę gościom. Widziała swoje siostry – uśmiechnięte, z wypiekami na twarzach, rodziców męża tańczących pośrodku pokoju i Gienię – wiekową sąsiadkę, która popijała herbatę i obserwowała wszystko trzeźwym okiem.

W jednej chwili poczuła się bardzo zmęczona – napięcie i stres sprzed ślubu wreszcie ustąpiły, robiąc miejsce wyczerpaniu. Pogłaskała się po wystającym już wyraźnie brzuchu, zaczerpnęła jeszcze rześkiego powietrza i zdecydowała, że położy się spać. Przeszła przez ulicę i podwórze domu stojącego naprzeciw. W suterenie wynajęli tu z Leonem malutkie mieszkanie, z którego bardzo się cieszyli. Nieważne, że było tam tylko ogrzewanie na węgiel, zimna woda w kranie i wypływający na ścianę grzyb. Przynajmniej mieli swoje meble i naczynia, w których Celina mogła gotować tylko dla nich,

bez potrzeby dzielenia się wyposażeniem z innymi mieszkankami – jak do tej pory na stacji.

Suknię i kapelusz uszyte przez teściową rzuciła na krzesło i położyła się w halce, zapominając w ogóle o pończochach z Niemiec, które na ślub dostała od sąsiadki. Buty kupiła trochę za duże, bo bała się, że stopy mogą jej spuchnąć od długiego stania. Teraz czółenka zsunęły jej się same, kiedy bokiem położyła się na wąskiej wersalce. Przykryła się kocem, a potem zapadła w sen, który przyszedł natychmiast.

Leżała w czymś miękkim i ciepłym, bardzo przyjemnym, co otulało jej ciało. Wokół było jasno i świetliście, ale w ogóle jej to nie przeszkadzało. Cień przyszedł nagle, kładąc się na jej piersiach, przesunął się do szyi, gdzie pozostał. Początkowo nic nie znaczył, ale z czasem zaczynała odczuwać jego ciężar. Chciała podnieść ręce, żeby się uwolnić, ale nie mogła unieść dłoni. Były zaplątane gdzieś przy pasie bez szans na oswobodzenie. Poczowała, że brakuje jej powietrza i szarpnęła głową. Tuż obok dostrzegła twarz dziewczynki patrzącą na nią w skupieniu. Celina próbowała coś powiedzieć, ale nie miała siły.

Obudziła się zlna potem, z halką przyklejoną do ciała i włosami splątanymi na mokrym czole. Była sparaliżowana strachem, oddychała głośno, ale powoli uspokajała myśli. Nie chciała analizować tego, co przed chwilą wyśniła. Najchętniej zapomniałaby o wszystkim od razu, ale takie nie-

chciane sny zostają w głowie jakby na złość. U niej akurat oznaczały jeszcze jedno – niebezpieczeństwo spełnienia. Zadrżała. Na zewnątrz usłyszała ruch, po chwili drzwi się uchyliły i do pokoju wszedł uśmiechnięty Leon. Od dziś jej mąż. To chyba od tego momentu przestanie spać spokojnie.

Dar

Było już dobrze po zachodzie słońca, kiedy Celina z białym emaliowanym wiadrem wyszła po wodę do wieczornego mycia. Szła ścieżką prowadzącą od domu przez podwórze, obok chlewiku, stodoły, aż do sadu, przy którym w ciemności majaczyła studnia. Wydrążono ją dawno temu, kiedy naprzeciw stał jeszcze stary dom dziadków, po którym teraz nie było śladu.

Podniosła cynkowe wiadro, przywiązane do łańcucha i rzuciła go w ciemną przestrzeń między obramowanie z kamieni. Zachybotało, ale uspakajało się powoli, w miarę jak z wyświeconej bali drewna odwijał się, szeleszcząc, długi łańcuch. W końcu stuknęło w dole i wydało charakterystyczny plusk. Woda zaczęła napływać do środka i za chwilę metalowa korba zaciężyla w ręce. Wtedy Celina zaczęła nakręcać przyrdzewiały łańcuch. Zrobiła raptem kilka ruchów, kiedy jej wzrok powędrował na majaczącą w oddali ścianę lasu. Znała ten widok od najmłodszych lat – równe, wysokie drzewa, które kończyły się nagle łagodnym

zejściem akurat na wysokości ich sadu. Wiedziała, że to leszczyny i niskie krzewy, bo wiele razy biegały tam z dziewczynami po wyjściu ze szkoły zrywać orzechy – jeszcze niedojrzałe, białe i miękkie w środku.

Nagle drgnęła, bo nad lasem niespodziewanie coś mignęło. Zrobiła jeszcze dwa ruchy, podciągając wiadro, kiedy niespodziewanie jasna plama zmateriałizowała się i zawisała w oddali nad drzewami. Wyglądała jak pulsująca czerwonym światłem miednica. Celina miała wrażenie, że przedmiot obraca się wokół własnej osi, chociaż z daleka trudno było to jednoznacznie stwierdzić. Patrzyła jak urzeczona, znieruchomiła i z otwartymi ustami aż do momentu, kiedy światło nagle wzniosło się, potem zniżyło lot, i chybotając to w prawo, to w lewo, zaczęło się do niej powoli zbliżać.

Puściła rękojeść wału. Pełne wiadro poleciało w dół, kręcąc korbą jak szalone, a za chwilę uderzyło z impetem w taflę wody i poszło pod spód na tyle, na ile pozwoliła mu długość łańcucha. Rwało jeszcze przez chwilę, ale Celina nie widziała i nie słyszała już niczego – pędziła do jasnych okien domu, a bosa pięty stukały głucho o ubitą ziemię ścieżki.

Chybnęła na stopień przed drzwiami, szarpnęła klamkę, a wbiegając do sieni kątem oka dostrzegła jeszcze niespotykaną jasność, którą poknęła studnia.

– A woda? – zapytała Marcjanna.

Celina dyszała i nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Bardziej ze strachu niż zmęczenia – przebiegła raptem kilkadziesiąt metrów.

– Nie... nie... – wydobyła wreszcie z siebie. Trzęsła się cała i matka podeszła do niej zaniepokojona dziwnym zachowaniem córki – ...nie... niech tam teraz nikt nie chodzi – wydukała wreszcie. – Widziałam coś dziwnego... jakies światło przyleciało z lasu... wpadło do studni!

Wszyscy w kuchni zerwali się na równe nogi i podbiegli do okna. Tłoczyły się obok siebie siostry Celiny, młodszy brat, a na końcu do szyb podszedł też ojciec. Ale nic nie dojrzeli. Sad był – jak zawsze o tej porze – ciemny i nieprzenikniony. Matka nie ruszyła się z miejsca – stała z Celiną przy świeżo pobielonym piecu. Wcześniej zapaliła w nim kilka szczap drewna, żeby podgrzać do mycia wodę, której Celina nie przyniosła. Złapała ją za rękę i nachyliła się do córki.

– Teraz będziesz wiedziała więcej – wyszeptala jej do ucha, kiedy twarze pozostałych wpatrzone były w noc na zewnątrz.

Sny Celiny były zawsze wyraźne i głębokie. Powracało się z nich bardzo trudno na jawę, a echa nocnych majaków chodziły za nią następnego dnia. Tego wieczora długo nie mogła zasnąć, wierciła się na sienniku wypchanym świeżą słomą, a kiedy wreszcie zmęczenie wzięło górę, przyśniły jej się

zgarbione cienie na tle stodoły. Skradały się powoli, przybierając dziwne pozy i przebiegały raz po raz, tam i z powrotem, uginając się pod ciężarem czegoś, co niosły na plecach.

Obrazy ze snu wróciły, kiedy szła po ziarno dla kur i otwierała skobel wielkich drzwi stodoły, ale później zapomniała o nich w natłoku codziennych zajęć. Przypomniała sobie o wszystkim następnego dnia o wschodzie słońca, kiedy z obory przyleciał ojciec, krzycząc w złości:

– Psie juchy! Zabrali nam świniaki! Złodziejskie nasienie!

Wtedy dopiero pojęła, co próbowała powiedzieć jej matka.

Celina i Leon

Całe życie Celina czegoś się bała.

Kiedy była jeszcze niemowlęciem zostawiano ją w kołysce na środku izby. Wszyscy, łącznie z najmłodszą siostrą, ledwie trzyletnią, szli na pobliskie pole. Falowało miodowym zbożem, chylącym ku ziemi nabrzmiące od ziaren kłosy. Zaczynał ojciec. Pewnie trzymał wyślizgany przez lata drzewiec kosy, i biorąc zamach z prawa na lewo, rytmicznie przesuwiał ostrze w dole łanów, postępując do przodu noga za nogą.

Pod jego butami z czarnej, grubej skóry chrzęściło ściernisko, pot wsiąkał w jasną koszulę, rękawy której zawinał tuż przed łokciem. Zaraz za nim

szła żona Marcjanna, a dalej siostry Celiny. Zbierały zżęte: naręcze zboża nakładały na ramię, a potem zamykały je w pierścieniu z kilku mocno skręconych pszenicznych łodyg, których końce wtykały pod opaskę, żeby mocno trzymała.

Marcjanna robiła grube, postawne snopy, szybko skręcała powrósł. Najstarsza córka nie ustępowała jej w niczym, ale młodsze nie miały jeszcze tyle wprawy, choć starały się, żeby ich snopki były tak piękne i duże, jak te matki. Najmłodsza szła na końcu, zbierała pojedyncze źdźbła, a kiedy nie mieściły się już w dłoni biegła do Marcjanny i dokładała do jej naręcza. Czasami wybierała z ustawionych już mendli błękitne chabry albo cienkie łodygi maków, którym od razu obsypywały się płatki.

Dwumiesięczna wtedy Celina przyzwyczajona do gwaru i czyjejs obecności czuła, że cisza, w której ją nagle zostawiono, nie jest bezpieczna. Przerzywało ją jedynie brzęczenie natrętnych much, które siadały na jej twarzy i rączkach. Ruszała nimi nieporadnie, ale bała się nawet płakać. Obserwowała jedynie szeroko otwartymi oczyma jasny sufit i zdawało się, że wstrzymuje oddech, by móc wyłowić z tej zniwnej ciszy zbliżające się kroki Marcjanny, która po każdych dwóch długościach pola zachodziła do domu zobaczyć, czy z córeczką wszystko dobrze. Malutka, czując obecność matki, zasypiała na chwilę, ale niedługo ponownie budziła ją złowroga cisza, i znów w oczekiwaniu na

karmicielkę uciszała oddech. Tak nauczyła się bać, i taka lękliwa już pozostała.

Kiedy trochę podrosła, bała się walczyć o więcej, pokornie przyjmowała tylko to, co przez dłuższy czas należało się jej jako najmłodszej. Nie odzywała się też później, kiedy młodszy brat podbierał jej z talerza kartofle, a siostry samolubnie zjadały z krzaków najlepsze maliny, zostawiając te przejrzałe czy ledwie różowawe. Myślała, że tak ma być. Rodzice pracowali od świtu do wieczora na roli, jeszcze czego, żeby mieli czas pilnować sprawiedliwości wśród rodzeństwa! Dzieci chowały się same, starsze zajmowały się młodszymi, nie było sensu wchodzić w szczegóły. Tak było zawsze i jakoś się sprawdzało. Celina nie nauczyła się więc dbać o siebie, zawsze ważniejsi byli inni, ich potrzeby i pragnienia. Spełnianie zachcianek – owszem, ale wyłącznie nie swoich.

W szkole Celina nie była odważniejsza. Nie potrafiła nawet wydukać, że kałamarz przewrócił się i zalał zeszyty, bo to Olka go potrafiła, nie ona. A Olka milczała, pozwalając nauczycielce przylać Celinie w łapę długą drewnianą linijką, po której ślad zostawał na długo i piekł, jakby gołą ręką chwyciła rozpaloną fajerkę.

Kiedy wysyłano później Celinę do miasteczka, nigdy nie dochodziła się, że wciśnięto jej gorszy towar. Posłusznie brała, co dawali i wracała do wsi. Bała się odezwać, wręcz pocila się na samo już wyobrażenie reakcji handlarki, tego, jak tamta by na

nią spojrziała i co sobie o niej pomyślała. Odpuszczała, chociaż w domu dostawała burę – no, ale to od swoich. Byle inni nie pomyśleli o niej czego złego. Co ludzie powiedzą – to było ważne!

Kiedy przyjechała ze wsi do miasta, bała się, że nie znajdzie żadnej pracy, a kiedy znalazła – drżała, że zaraz ją straci. Pracowała dobrze i sumiennie, zawsze dłużej niż trzeba zostawała w sklepie, żeby wszystko uporządkować i posprzątać. Nie chciała, żeby kierownik sklepu pomyślał, że się nie stara.

Ledwie zniknął strach o pracę zaczęły się obawy, że chyba już zostanie starą panną, ale właśnie wtedy poznała Leona. Następną była bojaźń o to, że Leon jej nie zechce. Kiedy zechciał – przyszła obawa, że odejdzie. A kiedy niespodziewanie nadszedł czas głębokiego pragnienia, żeby jednak odszedł, uświadomiła sobie, że bała się spełnienia tej myśli. Celina cała była jednym wielkim strachem. Niepewna, cicha i wstydliva.

Za to Leon nie bał się niczego. Kiedy rocznego postawili go przy stolku, na którym jego matka obierała zawsze kartofle, nie usiadł na tyłku, ale wyrwał do przodu i przeszedł pewnie kilka kroków, zatrzymując się dopiero przy maszynie do szycia. Tam nabił sobie guza o drewniany blat, ale nie zapłakał, pomasaował tylko czoło i ze śmiechem ruszył dalej.

To było coś, co znał – zapach i kształt maszyny, przy której spędzał w kołysce całe dnie. Matka szyła, a on wsłuchiwał się w szum, powarkiwanie

sprzętu, szcęk matczynych nożyc. Fascynował go dźwięk, które wydawały, kiedy kroili materiał: ciach – ciaaach! Wieczny hałas sączył mu się do ucha i układał w głowie, skręcał się razem z jego fałdami w mózgu, przenikał każdą komórkę ciała. Zapisywał w pamięci to nieuchwytnie drżenie – energię, dzięki której matka zamieniała zwykły kawałek materiału w ubranie, co dopasuje się do kogoś, przyłgnie do osoby. Tak Leon wyrastał w otoczeniu odgłosów towarzyszących kreacji, zmianie.

Może dlatego potem był odważny albo raczej, jak twierdzili inni, głupio wyrywny. Zawsze skakał na najgłębszą wodę, nie przerażały go oplatające nogi zielska jezior. Porywał rower ojca i rozjeżdżał nim największe wertepy, unosząc nogi nad pedały przy zjeżdżaniu po ostrych kamieniach i wybojach. Kiedy mógł już podprowadzać stary motor nie zwalniał na zakrętach nawet po burzy, kładł się prawie w te błotniste kałuże, ale podpie-rał nogą, zawsze wyprowadzał maszynę i siebie na prostą. Nigdy nie miał wypadku. I może przez to, że wszystko zawsze mu się udawało, nabierał coraz większej pewności siebie. Później trudno już było mu ją utracić.

Jeżeli trzeba było wyskoczyć nagle na drogę i zatrzymać auto – robił to bez wahania. Nie bał się innych, był ich ciekawy, a ciekawość ta szybko zjednywała mu obcych. Potrafił dogadać się ze wszystkimi i na każdy temat. Miał nadzwyczajną umiejętność dopasowania się do rozmówcy. Nie

zbijała go z tropu konieczność porozmawiania z kimś inteligentniejszym – zdawało się, że sięga wtedy do pokładów nieużywanych terminów, poszerza nagle zasób słownictwa, które czekało do tej pory w ukryciu na odpowiedni moment. Był w tym wszystkim naturalny, swobodny i wiarygodny.

Tak więc ich związek był idealny. Celina, która bała się ciągle, i Leon, który nie bał się nigdy. Uspokajało ją jego towarzystwo, odpędzało codzienne strachy, on zaś tonował trochę apetyt na życie przy tej cichej i skromnej kobiecie.

Kiedy Celina dzieliła się z nim jakimiś wątpliwościami powtarzał do znudzenia, że wszystko będzie dobrze, bo przecież jemu wszystko zawsze wychodziło. Nie ma się czym martwić – uspokajał, kiedy ona szukała dziury w całym i analizowała coś po raz setny. Dobrze było im razem. Jeszcze nie przeszkadzało Celinie, że Leon ciągnie ją na dyskotekę, której ona przecież nie lubi, a Leonowi, że Celina, zamiast tańczyć, woli przy stoliku pilnować jego piwa. To był kompromis, z którego na razie byli zadowoleni.

Leon zastanawiał się czasami, czy może nie posłuchać Celiny – gdzieś nie iść, czegoś nie zrobić albo nie powiedzieć, ale jej perswazje były ledwie słyszalnymi szeptami, stawały się więc nieważne, nie miały tej mocy, którą Leon respektował. O, gdyby tak Celina ryknęła, twardo postawiła na swoim, stanęła mu na drodze, to wtedy, kto wie?

Chyba by odpuścił, a przynajmniej spróbował. Początkowa fascynacja jej innością stawała się powoli przytłaczająca i nudna. Jeszcze niedawno była egzotyką, teraz spowszedniała i tylko go męczyła. Tak jak wszystko, z czym za długo miał do czynienia.

Celina to czuła, ale zaobserwowała też, że w miarę upływu czasu uzależniła się od jego energii, otwartości, której jej ciągle brakowało. W pewnym momencie pomyślała nawet, że gdyby nie było przy niej Leona, zgasłaby jak świeczka na wietrze, nie miałaby chyba siły na życie. Więc trwała w tej vibracji, przywłaszczyła ją sobie, bo jako żona mogła to przecież zrobić. Pograżyła się w niej, nie mając pojęcia, że należy sobie zostawić jakąś własną przestrzeń, że może kiedyś będzie trzeba się z tego wyswobodzić, wrócić do swojego rytmu.

Tylko że Leonowa energia wciągała jak bagno, człowiek zapadał się w nią coraz głębiej i głębiej, a w końcu nad powierzchnię wystawały już tylko wyciągnięte ręce, potem same dłonie i koniuszki palców, których nikt nie zechciał w porę pochwycić.

Młody bóg

Celina nie oczekiwała cudów, chciała po prostu żyć normalnie. Odchowić dziecko, potem iść do pracy, zajmować się domem i rodziną. Z rozrywek: czasami odwiedzić ojca i matkę na wsi, sycić oczy widokiem zieleni najdłużej jak się da.

Ale Leon miał inne priorytety. Zajmowało go co najwyżej jutro, a właściwie to dzisiaj. Gdyby znał łacińskie sentencje, za ulubioną uznałby pewnie *carpe diem*. Niewiedza o niej nie przeszkadzała mu jednak stosować się do tej reguły i wyznawać hedonizm od świtu aż do kolejnego świtu – bo Leon mało spał, uważając czas przeznaczony na sen za zmarnowany. Poza tym najlepsze imprezy odbywały się oczywiście nocami. Dla niego były to upojne noce pełne transu, dla Celiny bezsenne, wypełnione oczekiwaniem na powrót męża, dla Małej zaś typowe niemowlęciu – co trzy godziny szukała łapczywie piersi matki, żeby zaspokoić głód i potrzebę bliskości, po czym zasypiała w objęciach wyczerpanej Celiny.

Tak więc kwestie zajmowania się rodziną zostały scedowane na nią. Gdyby Leon tylko nie pomagał, wszystko byłoby jeszcze w porządku. Tyle że jemu udawało się skutecznie przeszkadzać.

Codziennie rano, przed szóstą, uchylał skrzypiącą furtkę od podwórza i wyruszał do pracy. Jego ruchy były zwinne, a krok sprężysty. Stawiał nogi w charakterystyczny sposób, wykrzywiając je trochę na zewnętrznych krawędziach butów. Wychodząc w te mgliste wczesne poranki, dobrze czuł się ze swoją lekkością i młodością. Podświadomie uprawiał się w dobry nastrój przekonaniem, że tak będzie już zawsze.

Po pracy czasami zjawiał się na obiedzie, często jednak jadł w barze mlecznym, a potem zawsze

spotykał kogoś, kto akurat miał coś ciekawego do zaproponowania. Wypad nad pobliskie jezioro, jakaś domówka, dyskoteka. Te wszystkie rzeczy zajmowały Leona bardziej niż własna córeczka, która rosła szybko, jednak zbyt wolno dla Leona marzącego skrycie o synu, i to od razu na tyle dużym, żeby mógł podawać mu śrubokręty i klucze. Bo w przerwie między balowaniem Leon lubił majsterkować. Znał się na tym i sprawiało mu to niemal taką przyjemność, jak wypicie dwóch zimnych piw.

Miasto B. szybko przysposobiło Leona jak swojego. Pokazało mu wszystkie swoje najlepsze i najgorsze oblicza nadszarpnięte zębem czasu, zaniechaną pielęgnacją i zszarzałe od ciągłego przepompowywania przez miejskie arterie powietrza gęstego od pyłu i przemysłowego brudu. Jego to jednak nie odstraszało. Był jak przybyły z zapadłej wioski niedoświadczony chłoptyś, który zachłystuje się atencją podstarzałej lampucery, mamiącej mężczyzn urodą retuszowaną pudrem. Nie mógł oczekiwać więcej i właśnie w Mieście B. realizował swoje marzenia o życiu.

Przyznawał sobie prawo do błędów i z rozkoszą je popełniał. Bo kiedy, jak nie teraz? Był atrakcyjny, pełen wigoru, akurat jak młody bóg, i tak też się zachowywał. W wolne dni imprezował do rana, a w tygodniu wracał najczęściej po północy. I nic nie robił sobie z przestrogi, że jest godzina milicyjna, i żeby uniknąć kłopotów, powinien stawiać się